

Marek Adamiec

O sposobie lektury poety

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (53), 126-131

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

O sposobie lektury poety

*Statuę grecką weź — zrąb jej ramiona —
 Nos — głowę — nogi opięte w koturny —
 I ledwo torsu grubą zostaw bryłę;
 Jeszcze za żywych stu uduchowniona,
 Jeszcze to nie głaz ślepy — jedną żyłę
 Pozostaw, wskrzesi!... i tę zrąb — zostanie
 Materii tyle prawie... co gadanie...!*

Cyprian Kamil Norwid: *Promethidion*.

Twórczość Cypriana Kamila Norwida staje się stopniowo coraz bardziej niewdzięcznym przedmiotem jakiegokolwiek refleksji. Z jednej strony skutecznie odstrasza jazgot rzeszy „kapliczkarzy” dopominających się rehabilitacji nie docenionego za życia poety (jakby ten proces przeprowadzić można było urzędowo i jednoznacznie), z drugiej zaś zniechęca olbrzymia liczba beztrąsko wypowiedzianych banałów o nowatorstwie, wyprzedzeniu epoki, przekroczeniu polskiej zaściankowości i zadziwiającej wprost mądrości. Do tego jeszcze nieustanne powielanie cytatów mniejszych i większych, brutalnie wrywanych z kontekstu, których preparowana trafność dorobek tego twórcy zda się zamykać w plakatową formułę: *Norwid... wiecznie żywy*. Dlatego też dotarcie do twórczości zasypywanej miałem słów, dobrych intencji i skamielin myślowych jest coraz trudniejsze, coraz bliższe progmu niewykonalności. W tej sytuacji na wnikliwą uwagę zasługuje każda „rzecz większa” o Norwidzie, każda próba interpretacji myśli istniejącej przez długi czas na terenie naszej kultury *w trwaniu utajonym*.

Książka Jacka Trznadla jest taką próbą. Po pierwszej, przyznaje — mozolnej — lekturze gotów byłem umieścić ją w jednym szeregu (jego zakres wyznaczałaby cezura trzydziestolecia) obok książek Wacława Borowego, Zdzisława Łapińskiego, Ireny Sławińskiej i Kazimierza Wyki jako kolejne świadectwo zmierzania się badacza z twórczością autora *Vade-Mecum*. Tylko że po dokonaniu tej intuicyjnej oceny pojawiła się potrzeba jej weryfikacji, musiałem samemu sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego pracy *Czytanie Norwida. Próby* przyznałem tak doniosłe znaczenie na polu najnowszych dokonań norwidologii?

Przede wszystkim przy współczesnym stanie historii literatury, rozpoznawanym w narastaniu prac fragmentarycznych, przyczynkarskich i ułankowych opracowaniach wybranych problemów jako „kryzys monografistyki”, szczególnego znaczenia nabiera każda całościowa próba badacza zmierzania się z zagadnieniami epoki historycznoliterackiej, prądu literackiego czy twórczości indywidualnej (dlatego też w moim prywatnym układzie odniesienia nie uwzględ-

niem artykułów, nawet tak ważnych, jak prace Michała Głowińskiego, czy publikacji zbiorowych). Książka Trznadla zaś jest właśnie całościową interpretacją twórczości Norwida.

Następnie czytelnika nawet fragmentarycznie obeznanego z opracowaniami z tej wąskiej dziedziny filologii, jaką jest norwidologia, uderza spokój tej pracy. Nie ma tu miejsca na historyczne uniesienia, do jakich przyzwyczaił nas w swoich komentarzach i interpretacjach Juliusz Wiktor Gomulicki czy, prezentujący się nieustannie jako „późny wnuk” w linii prostej, Marian Piechal. Twórczość Norwida jest tu rzeczywiście przedmiotem analizy, nie zaś swoistym sprawdzianem tylko metodologii badawczej, jak w przypadku przedsięwzięć interpretacyjnych wyznawców poetyki pragmatycznej, czy obiektem umożliwiającym dokonywanie rażąco nadużyć interpretacyjnych, jak to ma miejsce w praktykach Artura Sandauera. I wreszcie, mimo iż w tytule pojawia się rzeczownik „czytanie”, wprowadzający swoiste równouprawnienie między podmiotem badającym a przedmiotem badanym, nie otrzymaliśmy w efekcie subtelny dziennik lektury, notującego najdelikatniejsze drgnięcia duszy czytelnika przy obcowaniu z tekstami dawno zmarłego poety.

Po uświadomieniu sobie tych, wprowadzonych przeze mnie intuicyjnie, kryteriów aksjologicznych uświadomiłem sobie jednocześnie ich niebywały relatywizm: przecież mogą one stać się podstawą wartościowania wtedy i tylko wtedy, gdy przyjmujemy za układ odniesienia stan wąskiej dziedziny wiedzy, w żadnym zaś wypadku obowiązywać nie mogą przy rzetelnej ocenie efektu trudu myślowego. Przecież nawet ów mózół pierwszej lektury książki gotów byłem wytłumaczyć trudnością samego Norwida. Dlatego też pojawiła się potrzeba oceny drugiej, już mniej subiektywnej, tym bardziej że moją reakcją intelektualną na tę książkę było przyswojenie sobie kilkunastu sądów szczegółowych, natomiast odrzucenie konstatacji generalizujących, i to odrzucenie prowadzące do uznania ich za sądy fałszywe.

Książka skonstruowana jest zgodnie z porządkiem naturalnym: „Autor, zamierzywszy dać rzecz o Norwidzie większą, uważał za celowe konstruować swoje wywody tak, jak w czasie pracy sam materiał lektury i refleksji narastał” (s. 7). Punktem wyjścia jest próba interpretacji wiersza otwierającego cykl *Vade-Mecum* pt. *Klaskaniem mając obrzękłe prawice*, punktem dojścia zaś — ujawnienie modelu poety, wedle Trznadla postulowanego i realizowanego przez jego autora. Odwołując się do wyobrażeń przestrzennych można zaryzykować stwierdzenie, że konstrukcja owa przypomina odwróconą piramidę egipską. Nie sposób jednak, pozostając na poziomie rudymentów, ograniczyć się do tego porównania, wprowadzonego z analizy sposobu przekazywania informacji, pojawić się musi pytanie o technikę badawczą. Przyjęta i realizowana metodologia nie jest historyzmem w ścisłym tego słowa znaczeniu, mi-

mo iż autor pewne fakty umieszcza w perspektywie genetycznej. Odejście od diachronii nie oznacza również przyjęcia optyki synchronicznej, mimo że przy próbie zrozumienia pewnych pojęć, powracających u Norwida, autor odwołuje się do świadomości współczesnej, czy nawet absolutnej, jak ma to miejsce przy próbie zrozumienia kategorii oczekiwania, gdzie napotkać można taki sąd generalizujący: „Czekanie oznacza w każdym razie — stracony czas, pusty czas, pozorność egzystencji” (s. 111). Dostrzegając przeto owo napięcie między dwiema perspektywami lektury, napięcie charakterystyczne dla indywidualnej metodologii Trznadla, sformułowanej i realizowanej także w jego wcześniejszych pracach, postępowanie autora muszą określić jako pewną formę — przy oddaleniu pejoratywnych znaczeń tego słowa — anachronizmu, która najpełniej została wyrażona w uwagach wstępnych: „wyzwolenie się na chwilę od kolorytu epoki wydaje się przynosić tę korzyść, jaką rzeźbie greckiej przyniosło zmycie farb” (s. 8). Tylko że postępowanie to wymaga szczególnej uwagi od badacza. Przyjawszy optykę dwu wzajemnie przenikających się perspektyw, nie można ani na chwilę utracić świadomości punktów przecięcia się, wówczas bowiem popada się w rzeczywisty anachronizm, jak ma to miejsce w przypadku próby wyjaśnienia kategorii oczekiwania w przytoczonym wyżej fragmencie. Ani dla katolika — a Norwid był nim! — ani dla człowieka, który proces uzyskiwania prawdy opisał za pośrednictwem koniunkcji dwu rzeczowników odczasownikowych: „docho-dzenie” i „czekanie”, w żadnym wypadku nie może być to sąd prawdziwy. Wydaje mi się, że u podstaw tego sądu legła kontaminacja przekonań całkowicie nieprzyległych do idei analizowanych tekstów: po pierwsze — świadomość człowieka współczesnego, znającego doskonale pojęcie „ceny czasu”, po drugie — świadomość badacza, znającego dzieje recepcji poety, którego twórczość musiała czekać na przyswojenie i zrozumienie, one to były źródłem mylnych przesłańek, z których wyprowadzony został fałszywy wniosek. Owa metoda, określona przeze mnie mianem anachronizmu, pociąga za sobą jeszcze jedną, niebezpieczną konsekwencję, a mianowicie potrzebę jak najdalej posuniętej nieostrości pojęć, która stopniowo przekształca się w niekonsekwencję mówienia naraz dwoma językami: językiem diachronii i językiem synchronii, inaczej bowiem nie sposób zrozumieć tego oto stwierdzenia: „U Norwida pisarstwo, czy szerzej — sztuka, wchodzi wszędzie, w zakamarki prywatnego życia, wypiera tę «prywatność», ale i tę nieupozowaną wolność ruchów, kontroluje każdy gest, myśl i odruch” (s. 231). To przecież wypowiedź sformułowana językiem współczesnym, wypowiedź, za którą stoi znajomość teorii ról społecznych, rozbijających egzystencję ludzką na dwie dziedziny aktywności, dla autora *Promethidiona* nierozłączne: na życie prywatne i na życie publiczne. Nie przypisywałbym tak wielkiego znaczenia temu przemieszaniu języków, gdyby nie fakt, że jest ono podstawą konstruowania

modelu poety, modelu sformułowanego i jednocześnie realizowanego przez Norwida. Taki bowiem jest ostateczny punkt dojrzenia refleksji Trznadla. Model ten zawiera się dlań w formule: „Poeta — Chrystus”. Właśnie na figurze tej, jako wieńczącej dzieło, zaważyły sygnalizowane dotychczas uchybienia.

1. Przyjęty został statyczny model osobowości ludzkiej, pomocny przy rozważaniach synchronicznych. Nie wyolbrzymiając wcale kategorii „przełomów” w biografii indywidualnej, nie sposób zaprzeczyć, iż trud opisu koncepcji poety i poezji jest tylko usiłowaniem uchwycenia wypadkowej procesu skomplikowanej ewolucji. Przero wykorzystywanie dla udowodnienia hipotezy, odnoszącej się jednak do określonego momentu biografii, wypowiedzi z całego życia — przy jednoczesnym ominięciu dynamizmu biografii — jest swoistym zabiegiem mistyfikacyjnym, podporządkowanie zaś procesu dowodzenia hipostazie prowadzi do uporządkowania materiału dowodowego — dość swobodnie wybieranych cytatów — wedle fałszywego w tym przypadku mitu teologiczności.

2. Niezmiernie ważne pojęcie personalizmu chrześcijańskiego tutaj zostało po prostu rozpisane na cytaty z różnych autorów, od św. Augustyna począwszy, na Teilhardzie de Chardin zaś skończywszy. W gruncie rzeczy proces ujawniania oryginalności refleksji Norwidowskiej jest procesem inkrustowania wypowiedzi poety fragmentami z pism autorów personalistycznych.

3. W niedostatecznym stopniu ujawniono samoświadomość Norwida o roli artysty w społeczeństwie nowoczesnym, nie zostały wyraźnie zasygnalizowane uwagi poety o powinnościach artysty względem społeczeństwa i społeczeństwa względem artysty. Ominięciem problematyki miejsca artysty w społeczeństwie, do której nieustannie powracał Norwid, odległej jednak od utrwalonego potocznie mniemania o związkach z ideologią pozytywizmu, jak i od kabotyńskich usiłowań twórcy nie docenionego przez krytykę i publiczność, umożliwia pozorne przeprowadzenie procesu dowodowego na prawdziwość jednak tylko spekulatywnego modelu poety.

4. Norwid, który nie chciał wstąpić do klasztoru w obawie przed „zrobieniem herezji”, był jednak ortodoksyjnym katolikiem. Nieobca była mu książka *O naśladowaniu Chrystusa*, ale nigdy nie posunął się, poza wypadkami konwencjonalnej retoryki i topiki, do utożsamienia się z Chrystusem i zestawienia własnej biografii wprost z biografią, o której opowiadają Ewangelie.

Pominięcie tych czterech, dla mnie zasadniczych, faktów umożliwiło Trznadlowi skonstruowanie hipotezy całkowicie nieprawdziwej, proponującej norwidologii błyskotliwą formułę.

Praca Jacka Trznadla opatrzona jest podtytułem *Próby*. Nie chcę rozumieć tego rzeczownika jako propozycji uwolnienia autora od odpowiedzialności za przedstawione sądy i hipotezy przez odwołanie się do kręgu semantycznego „niewykończenia”, „niedopełnienia”, ale jako specyficzne określenie własnego wysiłku przez ba-

dacza, wysiłku ostatecznie jeszcze nie zakończonego mozolnego docierania do — choć może zabrzmie to nazbyt patetycznie — Prawdy, zwłaszcza że książka ta stara się ukazać przede wszystkim jedno oblicze Cypriana Kamila Norwida — oblicze myśliciela. Tak, rzeczywiście, był on jednym z najoryginalniejszych myślicieli polskich wieku XIX, ale był także jednym z najoryginalniejszych poetów, prozaików, dramaturgów tego okresu. Sam Trznadel pisze: „Norwid nie był filozofem, choć myślał filozoficznie. Nie tyle trzeba szukać ścisłości jego myślenia, ile szukać całościowych powiązań i tendencji” (s. 131). Natomiast ja zastanawiam się, czy przyjęta przez autora metodologia umożliwia tego rodzaju przedsięwzięcie. Bowiem można opowiedzieć „swoimi słowami” rymowany traktat filozoficzny, ogrodniczy czy astrologiczny, ale wtedy i tylko wtedy, gdy nie zrezygnujemy z perspektywy historycznej, w innym wypadku będzie to po prostu nadużycie interpretacyjne. Nie ulega wątpliwości, że idee sformułowane w *Pomethidionie*, *Rzeczy o wolności słowa*, *Niewoli* opowiedziane językiem dyskursywnym bardzo łatwo rozpoznać można jako przeraźliwe banały. Wybiegiem w takim wypadku stosowanym przez interpretatorów, także i przez Trznadla, jest cytowanie fragmentów, ułomków, wyimków. Niepokoi mnie jedno: czy takie postępowanie nie jest niczym innym niż tylko rozpisywaniem poety na czterowiersze i dwuwiersze, które przecież i tak nie mogą być przyjmowane dosłownie, są wszak *wyrwane* z kontekstu. Nie zapominajmy, że Norwid pisał i publikował rozprawy i traktaty sformułowane w języku dyskursywnym. Niepokoi mnie ekspansywność zwrotu: „Norwid — poeta myśli”, przeciwstawiającego „świat myśli” „światu poezji”, w konsekwencji prowadzącego do uznania poezji za nieudaną albo gorszą filozofię. Jacek Trznadel usiłował ukazać jedno tylko oblicze Norwida: poeta stał się głównie myślicielem. Przypomina się tu zakończenie opowiadania *Ad leones...* Ale nie jest to chyba nieunikniona klęska historii literatury zbliżonej do historii idei, ale na pewno klęską jest bądź to jednoznaczna interpretacja symbolu, bądź symbolu tego rozpisanie na chaotyczną mnogość cytatów. A może nie należy szukać drogi pomiędzy Scyllą strukturalizmu a Charybdą tłumaczenia poezji na filozofię przez odarcie jej z „końcówek rymowanych”, a samej wypowiedzi z wątpliwego „natchnienia” (resp. metafizyki i szaleństwa), może istnieje możliwość przywrócenia literaturze jej literackości...

Teraz, po dokonaniu weryfikacji pierwszej, intuicyjnej oceny, raz jeszcze muszę powrócić do zagadnienia wartości tej książki. Jest ona przede wszystkim *poświadczeniem lektury* dzieła Norwida, i to lektury rzetelnej, poświadczeniem ujawniającym blaski i nędze współczesnej humanistyki, która nie tyle, że nie dorosła do lektury *Promethidiona*, *Quidama*, *Vade-Mecum*, ile cierpiąc na swoiste *elephantiasis* informacji (to może zabrzmie jak brutalne wtargnięcie do cudzego tekstu, jednak mózół lektury, sygnalizowany dyskretnie

na początku, swe źródło miał w strukturze spotworniałego eseju, powtórzenia i nawroty myślowe przestały potwierdzać ruch myśli, zaczęły nużyć swą monotonią; przytoczenia zaś — mające za zadanie zarówno wskazywać genezę analizowanego tekstu, jak i jego związki z myślą późniejszą — sprawiały wrażenie niekiedy popisu prestidigitatorstwa erudycyjnego), ucieka przed odpowiedzialnością bezpośredniego zetknięcia się z utworem literackim, wybierając na swą patronkę przyciężką sowę Minerwy, wylatującą dopiero o zmierzchu. Pisze Phillipe Sollers: „Dziś najważniejszym zagadnieniem nie jest już *pisarz i dzieło*, ale *pisanie i czytanie* (*Logiques*. Paris 1968, s. 237—238), a przecież ta książka ma w tytule właśnie rzeczownik *czytanie*. Jako poświadczenie lektury jest ona poświadczeniem pewnej epoki literaturoznawstwa polskiego. Czy pozostaną przeto wierny pierwszej ocenie? Tak, gdyż mimo wykazane przeze mnie jej braki, które mogą być brakami względnymi, dostrzeżonymi tylko dzięki innemu sposobowi lektury, jest to książka ważna, dla usiłującego zrozumieć twórczość Norwida szczególnie istotna w tych partiach, w których autor próbuje przywrócić antycznej rzeźbie barwy, gdy umieszcza się w perspektywie diachronicznej. Jak bardzo ważna? To nie kokieteria ani potrzeba przyznawania cenzurek zmusza mnie do odwołania się do słów wstępu: „Ważnych książek jest zawsze tylko kilka w epoce, i te zdążymy przeczytać” (s. 10). Tylko czy zdążymy je zrozumieć, czy zdążymy je umieścić na tle nieco szerszym niżli wąski przedmiot specjalizacji, którego dotyczą? Bo to jest właśnie jedna z takich ważnych książek, których sposób lektury przekroczyć musi linearność procesu śledzenia liter. Zastosować należy do niej to zalecenie z odczytu Norwida poświęconego Juliuszowi Słowackiemu: „Rozpruj książkę i przeciągnij po stole, pionowo karty jej stawiając (...)”, gdyż poza wartością ustaleń szczegółowych jest pewnym punktem, który umożliwia dotarcie do twórczości Cypriana Kamila Norwida przysypanej miałem słów, dobrych intencji i skamielin myślowych. Umożliwia tego punktu przekroczenie. Lecz nie ominięcie.

Marek Adamiec